

Nad Niemnem w Bohatyrowiczach

O małej wsi Bohatyrowicze położonej trzydzięci kilometrów od Grodna na Białorusi słyszał prawie każdy dorosły Polak. Jeżeli nie zdążył przeczytać w szkole średniej obowiązkowej lektury *Nad Niemnem* Elizy Orzeszkowej, to powieść tę i nadniemeński krajobraz przybliżył mu film, emitowany również w telewizji. I ja także – jak dotąd – moją wiedzę o tym zakątku dawnej Polski czerpałem głównie z książki, z krytycznoliterackich oraz z historycznych opracowań. Toteż kiedy podczas krótkiego pobytu w Grodnie nadarzyła się okazja pojechać tam, postanowiłem jej nie marnować.

Pierwsze dni czerwca upływały tutaj pod znakiem Elizy Orzeszkowej, w związku z przypadającym szóstego czerwca stu pięćdziesięcioleciem jej urodzin. Na Uniwersytecie Grodzieńskim już nieco wcześniej odbyła się specjalna akademii poświęcana naszej pisarce. W szybkim tempie remontowano dom przy ul. Orzeszkowej, w którym w okresie od 1899 do maja 1910 roku mieszkała – jak napisano na pamiątkowej tablicy – "wybitna polska pisarka demokratka" (mieści się tutaj obecnie oddział młodych Związku Pisarzy Białorusi i biblioteka). W domu tym w rocznicę urodzin Orzeszkowej miała miejsce okolicznościowa uroczystość z udziałem reprezentantów białoruskich władz wojewódzkich i miejskich. Przedstawiciele Związku Polaków na Białorusi złożyli kwiaty pod tablicą pamiątkową oraz pod jej pomnikiem, który znajduje się kilkaset metrów dalej na skwerku przy tej samej ulicy. Wiązanki kwiatów zauważyłem też na grobach Orzeszkowej i jej matki na cmentarzu polskim w Grodnie. Wśród tych tradycyjnych wyrazów pamięci o wielkiej polskiej pisarce znalazły się też i nowe. Związek Polaków na Białorusi ufundował dwie pamiątkowe tablice, które zostały umieszczone w kościele w Kamionce, położonej czterdzieści pięć kilometrów od Grodna, gdzie Orzeszkowa była chrzczona oraz w kościele Bernardynów w Grodnie, w którym w 1858 roku brała ślub z Orzeszką. Wyrazów pamięci, jak widać, sporo, zwłaszcza, jeżeli zważymy, że w kraju ta rocznica przeszła bez większego echa. Nie odnotowałem bowiem jakiejś większej aktywności ani związków twórczych, ani środowisk intelektualnych.

Uczestnictwo w tych grodzieńskich aktach kultu pisarki przypomnienie faktów z życia Orzeszkowej, rekonstruowanie zdarzeń powieściowych wzmogło jeszcze bardziej moją chęć odwiedzenia Bohatyrowicz.

Nie było to przedsięwzięcie łatwe. Autobus w kierunku Łunna odjeżdża niezwykle rzadko. Stamtąd trzeba by iść pieszo jeszcze spory kawałek drogi. Realizację planu ułatwia mi niezawodny – jak zwykle – prorektor uniwersytetu prof. Siergiej Gabruszewicz, który

prywatnym samochodem zdecydowała się na moją prośbę tam pojechać. Wyjeżdżamy po południu, kiedy już nieco uporał się ze swoimi rozlicznymi obowiązkami w rektoracie. W podróż udaje się z nami Walenty Czekin, przyjaciel profesora, rodowity moskwianin, poeta i malarz, od trzydziestu lat zamieszkały w Grodnie. Maluje głównie krajobrazy białoruskie, portrety, do niedawna również wodzów rewolucji i Gorbaczowa. Teraz – śmieje się – pozostałem przy osobach „świeckich”. – Może więc mnie namalujesz – żartuje profesor. – jak na to zasłużysz lub dobrze zapłacisz – odpowiada również żartobliwie artysta. Znają się przecież od lat. Na ścianach mieszkania Gabruszewicza wiszą pejzaże Czekina.

Nasza wołga mknie prosto jak strzała drogą wśród lekko pofalowanych pól, co pewien czas poprzecinanych dorodnymi lasami. Prorektor Gabruszewicz zwraca mi uwagę na obsiane pola okolicznych kołchozów, na ich solidne zabudowania, na monumentalne wiejskie domy kultury. Jako rodowity Białorusin jest dumny ze swej krainy. Pochodzi spod Grodna. W Bohatyrowiczach jednak jeszcze nie był. Zna je podobnie jak i ja z powieści Elizy Orzeszkowej. Malarz nic nie wie ani o pisarce, ani o jej utworze. Jedzie tam, by szukać inspiracji estetycznych w nadniemeńskim krajobrazie.

Na dwudziestym siódmym kilometrze skręcamy z drogi głównej w lewo i najpierw asfaltową, później piaszczystą dróżką, na której grzęzną koła samochodu docieramy do jakiejś wsi. Okazało się, że to jeszcze nie są Bohatyrowicze. Pytamy więc o drogę chłopów oczekujących na autobus. – Przejechali panowie trochę, trzeba wrócić jakie dwa kilometry i potem w prawo – tłumaczy ktoś z gromadki stojącej na przystanku. W tym momencie wychodzi z tej grupy średniego wzrostu mężczyzna o ogorzałej od słońca i wiatru twarzy, z rekoma jak dwa bochny chleba, w roboczym ubraniu, w czapce na głowie. – Ja was tam zaprowadza. Jadę w tamtym kierunku, mieszkam w Bohatyrowiczach. Ruszamy. Rozmowa toczy się najpierw w języku rosyjskim, prorektor zagaduje naszego gościa po białorusku. W obu językach wypowiada się on swobodnie. Jest jednak nieco nieufny. Pyta, co nas sprowadza do jego wioski. Kiedy dowiaduje się, że jestem z Polski, rozjaśnia mu się twarz, znika wcześniejsze napięcie. Zwraca się do mnie w najczystszej polszczyźnie.

– Nazywają mnie Tadzik, Tadeusz Bohatyrowicz jestem z tych Bohatyrowiczów, co ich pani Orzeszkowa w powieści opisała. Mieszkam niedaleko miniewicz, obok dworu, do którego pisarka przyjeżdżała na wakacje. Czy ten sam dom wtedy tutaj stał, na pewno nie wiem. W tym miejscu to jednak było. Dom teraz opuszczony. Kupił go jakiś wojskowy, chyba generał, będzie rozbudowywał, nawiózł sporo materiału. Wcześniej tam była poczta, magazyn i diabeł sam wie jeszcze co.

Bohatyrowicz jest szoferem w kołchozie. Ma działkę przyzagrodową, na której uprawia i hoduje wszystko, co do życia jest potrzebne. W zakresie żywienia jest samowystarczalny. Na los swój nie narzeka. Ma auto "żyguli", stare, niestety osiemnastoletnie.

Trzyma się ono jeszcze, gdyż jako szofer ma się na mechanice. Drobne remonty wykonuje sam. Pyta moich towarzyszy podróży, czy nie mogą mu pomóc zakupić nowego. Pieniądze na ten cel zgromadził. Gdzie i jak teraz nabyć auto?

Ma dwóch synów, czterech mruków, sami chłopcy. – Ród Bohatyrowiczów nie zaginie – zauważa nie bez swoistej dumy, że to za jego sprawą.

Zbliżamy się do Bahatyrowicz. Wokół nas krajobraz utrwalony przez Orzeszkową: "Z jednej strony widnokregu – czytamy w *Nad Niemnem* – wznosiły się niewielkie wzgórza z ciemniejącymi na nich borkami i gajami, z drugiej wysoki brzeg Niemna, piaszczystą ścianą wyrastający z zieloności ziemi a koroną ciemnego boru oderżnięty od błękitnego nieba, ogromnym półkolem obejmował równinę rozległą i gładką, z której gdzieniegdzie tylko wyrastały pękate grusze, stare, krzywe wierzby i samotne, ogłupiałe topole". Wszystko pozostało tutaj na swoim miejscu, i pękate grusze, i stare wierzby, i samotne topole. Niewiele się mieniło w nadniemeńskim krajobrazie. Tutaj czas jakby się zatrzymał.

Pierwsze kroki kierujemy asfaltową wąską dróżką nad Niemen, na położony w zagajniku grób Jana i Cecylii, legendarnych przodków rodu Bohatyrowiczów. Napis "Jan i Cecylia Rok 1540 memento mori" na własne oczy oglądała Eliza Orzeszkowa z Adamem Lewkowiczem, głównym informatorem o przeszłości rodu. Fakt ten tak opisała Gabriela Pauszer-Klonowska w opowieści *Pani Eliza*: „Wysoko, o kilka kroków zaledwie od szczytu, u końca cienistej, w nierówne schody wyszczerbionej alei, którą wspięli się aż tutaj, leżał olbrzymi kamień siwym i brunatnym mchem porośły. [...] Trzeba było wejść pomiędzy drzewa, żeby rozpoznać, że to grobowiec. Był bardzo prosty i ubogi. Wznosił się na nim sześciokątny, gruby, drewniany krzyż, na którego czerwonym tle widniała postać Chrystusa”.

Dzisiaj pośrodku ogrodzonego drewnianym płotem grobu stoi tylko drewniany krzyż z postacią Chrystusa. Nie ten zapewne, jaki pisarka widziała około sto lat temu. Krzyż jest nowy, widać, że niedawno w miejsca starego postawiony. Od mogiły po schodkach idziemy nad Niemen. – Kiedyś były tu schody drewniane i poręcz – informuje Bohatyrowicz. Jeszcze jako dziecko ślizgałem się na niej w dół. Nad teka cisza absolutna. Zakłócają ją jeno koncerty ptaków z okolicznych zarośli. W dali ktoś płynie łódką, przy brzegu ktoś inny łowi ryby, woda leniwie płynie...

Okolo dwóch kilometrów musimy przejechać wzdłuż Niemna, skrócić w lewo, by przez głębokie piachy dotrzeć pod las, omijając chłopskie drewniane, pomalowane na niebiesko chaty. Nasz przewodnik przez gęste zarośla prowadzi nas na maleńką polankę do mogiły powstańców. Widać, że ktoś o nią dba. Ogrodziona jest płotem, na umocowanej na krzyżu tabliczce czytelny napis „Pawstańcom 1863. Pokój ich duszom”. Ktoś położył na niej wiązanek czerwonych kwiatów. Robimy pamiątkowe zdjęcie. – Popatrzcie panowie – zwraca uwagę Bohatyrowicz – stoimy na tym miejscu: dwóch Polaków, jeden stąd, jeden z kraju, Białorusin i Rosjanin. Czyż to nie symboliczne?

Symbolem jest również mogiła powstańcza w powieści Orzeszkowej, gdyż kryje prochy i Andrzeja Korczyńskiego, i Jerzego Bohatyrowicza. W jej niejako obliczu dokonuje się szlachty z Korczyna i zdeklasowanej szlachty zagonowej z Bohatyrowicz. W walce o wyzwolenie narodowe jedni i drudzy oddawali swoją krew.

W *Nad Niemnem* czytamy: "W głębi pod ciemną kolumną kilku splecionych z sobą jodeł, słupem padającego od nich cienia okryty, wznosił się niewysoki pagórek, kształt podługowaty i łagodne otoki mający, niby wał, niby kurhan, widocznie kiedyś rękami ludzkimi usypany jak i cała ta polana – niską, w nierówne kępy pogarbioną trawą obrosły.

Jan w milczeniu pagórek ten Justynie ukazał, ona też milcząc skinęła głową, wiedziała, że to zbiorowa mogiła.

– Ilu? – z cicha zapytała.

– Czterdziestu – odpowiedział, głowę znowu odkrył i kroku przyspieszył”.

I my milczymy przez dłuższą chwilę, Tadeusz Bohatyrowicz zdjął czapkę z głowy. Wszyscy bez słowa opuszczamy mogiłę powstańczą. Każdy – jak sędzę – z innymi refleksjami.

Do swojej wsi Bohatyrowicz niezbyt chętnie chce nas zaprowadzić. – Nie ciekawego nie zobazycie. Wieś jak wieś. Ulega jednak naszym namowom. Obok dworu, obok starego sadu i parku podjeżdżamy pod jego dom, który znajduje się nieopodal dworku wykupionego przez generała. Po namyśle zaprasza na swoje podwórko. Dom jak wszystkie tutaj jest drewniany, oszalowany pomalowanymi na żółto deskami. Obejście zadbane. Folia na jarzyny. Na przyzbie turystyczny odbiornik radiowy, z którego słycać polska mowę. To pierwszy program polskiego radia z Warszawy. Żona Bohatyrowicza, która wraca od sąsiadki z siedmioletnim wnukiem informuje mnie, że włączyła radio, by posłuchać sprawozdania z wizyty Ojca Świętego w Białymstoku. – Dużo naszych tam pojechało. Ja nie mogłam. Mąż ciągle w pracy. Ktoś musi gospodarstwem się zająć i wnuki przypilnować. Chłopiec też mówi no polsku. Ma na unie Artur. – Powiedz panu: – Kto ty jesteś? – pyta babcia. – Polak

mały. – Jaki znak twój? Orzeł biały – odpowiada. – Uczę go od dziecka mowy naszej, naszej historii. Powinien wiedzieć kim byli jego pradziadkowie.

Przyznać muszę, że ta lekcja patriotyzmu, szacunku dla tradycji, dla polskiej historii w ustach tych chłopców znad Niemna zrobiła na mnie niesamowite wrażenie. Wynika ona bowiem z ich wewnętrznej potrzeby, z przekazywanej z pokolenia na pokolenie wiedzy, z poszanowania polskości, kultywowanej tutaj przez wieki.

Na nasz widok wychodzą z sąsiednich domów zaciekawieni gospodarze. Zapraszają do środka. Zbliża się wieczór. Musimy wracać do Grodna. Nie możemy dzisiaj skorzystać z ich serdeczności i gościny. – Może przyjedziecie na wakacje, na wypoczynek. U nas ludnie porządni. Nie zedrą z was pieniędzy. A jaka cisza, jaka przyroda, ryba – sami widzicie.

Odjeżdżamy. Daleko nad Niemnem zachodzi przymglone chmurami słońce. Żegnam Bohatyrowicze w dziwnym nastroju. Wzruszenie, które staram się ukryć przed współtowarzyszami podróży nie opuszcza mnie podczas całej drogi powrotnej do Grodna. Nie pierwszy raz spotkałem Polaków poza granicami kraju. Miałem kontakty z polonią i w Ameryce, i we Francji, i w Hiszpanii, i Grecji, i w Austrii. Ci jednak zrobili na mnie szczególne wrażenie. Utrwalony w literaturze ród Bohatyrowiczów niezależnie od zawirowań historii trwa, kultywuje polską mowę, nie zapomina o polskiej tradycji na tym pięknym skrawku białoruskiej ziemi nad Niemnem.